

Ewelina Rubinstein

Nina

prawdziwa historia



Ewelina Rubinstein
„Nina, prawdziwa historia”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o., 2014
Copyright © by Ewelina Rubinstein, 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski
Projekt okładki: Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
Korekta: Paulina Józwiak
Zdjęcie na okładce: © Andrea Veneziano – Fotolia.com

ISBN: 978-83-7900-247-4

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 665-955-131
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Mamie...

SPIS TREŚCI

Rozdział I	5
POCZĄTEK. Z PAMIĘTNIKA	
Rozdział II	13
MOGUNCJA	
Rozdział III	28
WARSZAWA	
Rozdział IV	33
GASTENSTRASSE	
Rozdział V	39
PARYŻ	
Rozdział VI	82
WOLLSTEIN	
Rozdział VII.	109
POPOWO STARE	
Rozdział VIII	115
KOŚCIELNA	
Rozdział IX	121
MOKOTÓW	
Rozdział X	124
ZAKOŃCZENIE. Z PAMIĘTNIKA	

ROZDZIAŁ I

POCZĄTEK. Z PAMIĘTNIKA

Bylem zbyt zajęty, by widzieć to samo, co wszyscy dookoła. Zbyt ślepy, łatwowierny i emocjonalnie niedojrzały, by dostrzec załamującą się rzeczywistość i narastające we mnie wątpliwości. Nie zauważałem czy też – jak zapewne powiedzieliby inni – nie dbałem o własne dobro i poczucie wewnętrzznego spełnienia. Błądziłem po omacku, co pewien czas potykając się o meandry własnej podświadomości. Byłem niewidzialny. Lustro było nic nieznaczącym odbiciem twarzy mężczyzny pokrytej rzadkim, już nieco siwiejącym zarostem, z głęboko osadzonymi błękitnymi oczami, długim, szczupłym nosem i czołem pokrytym grubymi bruzdami. Miesiąc temu skończyłem 53 lata. Czy byłem stary? Oczywiście, że nie, ale dobrze pamiętam swego ojca (choć z trudem przychodzi mi te słowo), który będąc w tym wieku, co ja teraz, wydawał mi tak bardzo zniszczony przez życie i pracę na Pomorzu, że z lękiem wyczekiwałem aż to nieszczęście dosięgnie także i mnie. A kiedy nadeszło, nie czułem nic. Ani złości, ani rozczarowania, ani buntu. Całkowita pustka, całkowite wyjałowienie. Dojrzałość była cicha i skryta. Pojawiała się bez zapowiedzi i zbędnych przygotowań. Ba, człowiek budził się pięknego, jesiennego dnia, spoglądał przez okno i dopiero wówczas uświadamiał

sobie, że to wszystko, co ma, czy też to wszystko na co czeka, jest tylko cywilizacyjnym, złudnym wytworem skomercjalizowanej współczesności. Świat był oszustem. Wielkim kłamcą, dla którego tacy jak ja, nie mieli najmniejszego znaczenia. Mijały wieki i lata, zmieniały się epoki i moda, a jedno wciąż pozostawało takie samo. Ludzka marność i poczucie tęsknoty za rzeczami, które nie miały znaczenia w ponadczasowym wszechświecie. Zmienność była zmiennością, a strach zwykłym strachem. Zapachy mieszały się, jak na arabskim bazarze, a myśli przeplatały z hamletowskimi wątpliwościami. Czas nie miał znaczenia ani dla mnie, ani dla niej. Był względny i z wiekiem dochodziłem coraz częściej do wniosku, że zupełnie niewiele warty. Czasami nawet miałem wrażenie, że był istotną przeszkodą w realizacji moich celów i wielu życiowych planów. Zdawało mi się, że wszystko to było tylko złudnym dążeniem do stworzenia rzeczywistości, w której nie było już dla mnie miejsca. Miejsca, którego tak bardzo pragnąłem dla siebie. Nieraz marzyłem o dalekich podróżach – tych za Atlantyk czy na daleką Syberię. Tylko po to, by uciec, by uwolnić swój umysł od braku wrażliwości. Chciałem zabić stagnację, której marazm – niczym bluszcz na murach starych budynków – oplatał całe moje, ponad pięćdziesięcioletnie ciało. Zamierzałem w końcu zrzucić niewygodne jarzmo i stać się kimś zupełnie innym. Tak bardzo pragnąłem być wolnym człowiekiem. Do tego stopnia, że często upijając się do nieprzytomności, bezwładnie leżałem na podłodze swego dwupokojowego mieszkania i wędrowałem. Unosiłem się w innej, nieznaney mi czasowej przestrzeni, w której to ja byłem Bogiem – Panem Przeszłości, Terazniejszości i Przyszłości. Ulegałem

wyobrażeniom, które czasami pojawiały się w najmniej oczekiwanych chwilach. Pamiętam, jak biorąc prysznic, w marcowe, niedzielne popołudnie poczułem ogromne podniecenie i niewytłumaczalną chęć zrobienia czegoś niezwykłego i głupiego. Czegoś, co nie przystawało robić człowiekowi w moim wieku, ani nawet młodszemu. Ogarnięty błogim szaleństwem wyszedłem zupełnie goły i mokry na korytarz klatki schodowej. Stałem tak na progu swego mieszkania przez kilka dobrych minut. Schizofrenicznym wzrokiem wpatrywałem się w sąsiednie drzwi, nasłuchując jednocześnie głosów, których nie mogłem w żaden sposób rozpoznać. Drżałem z zimna, czując jednocześnie niewytłumaczalną gorączkę, która zalewała mnie od środka. Podniecenie nie ustępowało. Było tak silne i intensywne, że nie wytrzymałem napięcia... Zupełnie tak, jak przed wielu laty, kiedy po raz pierwszy znalazłem jej erotyczne ogłoszenie w lokalnej gazecie...

Początek nowego stulecia nie wydawał się zbyt obiecujący. Tempo życia, które coraz mocniej wciągało mnie w wir różnych, często nie przynoszących żadnego pożytku obowiązków, sprawiało, że zapominałem o wartościach, jakie wyniosłem z rodzinnego domu. Mimo, że wychowałem się na warszawskim Mokotowie, to emocjonalnie daleki byłem od krzewienia czy też propagowania regionalnego patriotyzmu. Dwadzieścia lat swego życia spędziłem w starej kamienicy na ulicy Olszewskiej. I to tam dorastałem; poznawałem dobro i zło. Odkrywałem nie tylko wielkich, światowych prozaików czy nieznanne dzieła Wilde'a, ale także piękno i najszybsze zakamarki kobiecego wdzięku. Nigdy nie zapomniałem pierwszego dotyku, jakim obdarzyła mnie rudowłosa dziewczyna,

którą poznałem w chwili, w której tak naprawdę nie chciałem. Tamtego dnia – będąc jeszcze w klasie maturalnej – wracałem z dodatkowych zajęć wuefu. Spocony, w brudnej, pomiętej koczulce, w rozwalających się trampkach, biegłem wzdłuż ulicy Puławskiej. Wówczas ujrzałem jej delikatną twarz, która niczym najszlachetniejsza perła mieniła się w złotych promieniach wiosennego słońca. Była jak anioł. Jak astronomiczne zjawisko, dla którego zaprzedałbym duszę samemu diabłu. Spotkałem ją jeszcze raz, kilka tygodni później. Dotykałem jej włosów, próbując zapamiętać każdą nutę zapachu, jaka ją otaczała. Nie mogłem nacieszyć się widokiem jej gładkiej szyi, akksamitnych, krągłych piersi, płaskiego brzucha i ud, widokiem, który pamiętam do dzisiaj. Byłem jak oszalały, kiedy ujrzałem ją całkiem nagą. Przeszywały mnie miliony dreszczy, które na zmianę raz paraliżowały moje ciało, a innym razem wprawiały w nieznane mi dotąd reakcje. Wtedy zrozumiałem, na czym polega męskość – ta zwierzęca, nadpobudliwa, w której testosteron miesza się z endorfinami, a stężenie dopaminy osiąga najwyższy wynik. Byłem, jak w transie – całkowicie pozbawiony świadomości i zdolności do obiektywnego ocenienia otaczającej mnie rzeczywistości. Z dzisiejszej perspektywy wiem, że to ona, a nie ktoś inny, na zawsze ukształtowała moją wrażliwość i sposób, w jaki przez ponad trzydzieści kolejnych lat postrzegałem kobiety. Czy była moim ideałem, bóstwem piękna i kobiecego szyku? Nie wydaje mi się – choć wcześniej zapewne uważałem inaczej. Ale to – paradoksalnie – nie ona śniła mi się każdej nocy, ani nie była w moich marzeniach, kiedy sam, leżąc nocą na niewielkim łóżku, rozładowywałem napięcie. To Nina, która niczym gruzińska niewolnica zmieniała losy nie

tylko mojej marnej egzystencji, ale również tych wszystkich, których znałem, szanowałem i lubiłem. Zmieniała to wszystko, do czego sam nigdy bym się nie zmusił. Czasami prowa-
dziła mnie za rękę, bym szedł równo z nią, bym nie oddalił się zbyt daleko. A kiedy myślałem, że spełniam jej wszystkie oczekiwania, że daję jej bezgraniczną miłość i pieniądze, jakie uczciwie zarabiałem, wykładając na polskim, niemieckim czy francuskim uniwersytecie, ona nagle zniknęła. Nie chciała mego ciepła ani pocałunków. Zupełnie nic. Jakby w ogóle mnie nie znała i nigdy w sobie nie miała. A przecież tak wiele, zbyt wiele było chwil, podczas których chciałem skonać, kłękając przed nią i obsesyjnie całować jej szczupłe, filigranowe łydki. Tak wiele wydarzyło się w jej i w moim życiu, że sam nie jestem pewien, od czego miałbym zacząć swoją opowieść... Opowieść, która jak sen miesza się z rzeczywistością. I choć dla wielu moja historia wyda się nieprawdopodobna, to jednak zdarzyła się naprawdę...

*

Lato było upalne. W powietrzu unosił się kurz i śmierdzący zapach spalin. Upał w mieście był przerażającym doświadczeniem, zwłaszcza, kiedy mieszkało się w otoczeniu betonowych skupisk bloków i niskich, postkomunistycznych zabudowań. Marzyłem wówczas o stypendium naukowym, które umożliwiłoby mi wyprowadzkę z Warszawy i zamieszkanie w jednym z europejskich, dużych miast, które dotychczas znałem tylko z opowiadań znajomych matki bądź też z „Klubu sześciu

kontynentów” Ryszarda Badowskiego. Byłem miłośnikiem turystyki, kochałem archeologię, kryminały i sztukę współczesną, jeżeli w tamtym – smutnym dla Polski okresie – w ogóle można było o czymś takim mówić. Często spotykałem się z Jackiem Różyckim, którego poznałem, będąc jeszcze na III roku studiów. Był specyficznym człowiekiem. Palił, pił, a naukę traktował jak zło konieczne. Nie rozumiałem jego osobowościowego niechłujstwa, choć po części zazdrościłem mu hipisowskiego luzu, prostackich manier czy przygodnego seksu. Tak, byłem odmieniecem, który próbował odnaleźć swoją tożsamość w świecie pełnym niespodzianek i zaskakujących zwrotów akcji. Czasami nieco nieporadny, zagubiony, a inny razem zbyt porywczy i nerwowy. Miałem jeden cel – karierę i to daleko, daleko stąd. Nie uciekałem, choć tak bardzo pragnąłem wolności – nie tyle fizycznej, co duchowej. Jackowi się udało, choć nigdy nie obronił pracy magisterskiej na temat ewolucyjnych zmian we władzy ustawodawczej na mocy postanowień konstytucji kwietniowej. Wyjechał do Nowego Jorku. Nie mając pracy, ani bogatej rodziny – zaryzykował. Z biletem w jedną stronę wsiadł do samolotu na Okęcie i zniknął... Jego twarz ponownie ujrzałem 23 lata później, kiedy pojawił się na jednym z moich wykładów w Paryżu razem z ówczesnym, bułgarskim ministrem obrony – Anju Angelowem. Nie był już tym Jackiem, jakiego pamiętałem. Nie nosił rozciągniętego swetra, wytartych sztruksów i ciągle przetłuszczonych włosów. Wyglądał jak prawdziwy biznesmen. Stalowy garnitur od samego Alexandra Mcgueena, skórzane, brązowe oksfordki projektu Fratelliego Rossettiego i zegarek z ogromnym, połączonym cyferblatem prezentował się wyśmienicie. Kiedy patrzyłem na

niego i z wielkim skupieniem wsłuchiwałem się w każde słowo zrozumiałem, że to on był szczęściarzem... nie ja i aż trudno mi było uwierzyć, że ten niski, krnąbrny szatyn, niemalże z zegarmistrzowską precyzją zaplanował swoje życie. Życie, które na początku tak niewiele mu oferowało...

Nic bowiem nie zapowiadało, iż Jacek stanie się tym, kim ja zawsze chciałem być. Żyłem przeciętnie, aby nie powiedzieć nudno i monotonna. Byłem jak prostytutka, która choć ma imię, to żyje w świecie, w którym imiona w ogóle nie istnieją. Powrót do przeszłości nie kojarzył mi się z czymś dobrym. Był raczej samooczyszczeniem i próbą zrozumienia faktu, iż moją największą miłością i zagadką jednocześnie była kobieta, która nigdy nie istniała... W czasie mojej życiowej podróży spotkałem też własne sumienie. Sumienie, które miało ciało, barczyste ramiona i sokoli wzrok. Nazywało się Ernestem Schneiderem...

Zacznę jednak swą opowieść od momentu, w którym wyjechałem z Warszawy, kiedy transformacja ustrojowa już na dobre zagościła w polskiej świadomości i kiedy Michaił Gorbaczow otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. Zawsze bowiem wiedziałem, że pewnego dnia powrócę na te ulice, by opowiedzieć historię człowieka, który stracił duszę, wewnętrzną wolność z powodu własnej słabości, ciekawości i chęci poznania tego, czego nigdy wcześniej nie zaznał. Człowieka owładniętego grzeszną miłością, pełną perwersji i wysublimowanych słów. Mężczyzny zdolnego do największych poświęceń i wyrzeczeń w imię własnych, często szaleńczych, fantazji. Zbyt wiele zaryzykował i zbyt wiele zła uczynił, by czas mu przebaczył, by nauczył pokory i by zrozumiał, że dziwka to nie zawód. To po

prostu moralność. Gdyby nie tajemnica pewnego rodu, dziś nie znałbym własnej tożsamości i duszy – dziś już krystalicznie czystej i wolnej od wszelkich perwersji.